czytamy klasykę literatury

LITERATURA ROSYJSKA

Iwan Turgieniew

Pierwsza miłość

POWIEŚCI

WYDAWNICTWO PSYCHOSKOK



Iwan Turgieniew

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2016

Iwan Turgieniew

„Pierwsza miłość”

Copyright © by Iwan Turgieniew, 1891
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2016

Skład: Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
Wydwanictwo: Gebethner i Wolff
Druk: S. Orgelbranda Synowie

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Tekst jest własnością publiczną (public domain).

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

ISBN: 978-83-7900-735-6

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://www.psychoskok.pl/
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Goście rozjechali się od dawna; wybiło wpół do pierwszej, w pokoju został tylko gospodarz, Sergiusz Mikołajewicz i Włodzimierz Piotrowicz.

Gospodarz zadzwonił i kazał sprzątnąć resztki kolacyi ze stołu. Potem zapalił cygaro i zasiadł znowu wygodnie w głębokim fotelu.

— No, panowie, — rzekł z uśmiechem, — rzecz postanowiona: każdy z nas opowie historyą swojej pierwszej miłości. Pan zaczynasz, Sergiuszu Mikołajewiczu.

Sergiusz Mikołajewicz, nizki, okrąglutki blondyn, z pełną i rumianą twarzą, spojrzał naprzód na sąsiada, potem z westchnieniem podniósł oczy do sufitu.

— Ja nie miałem pierwszej miłości, — odezwał się nakoniec, — od razu zacząłem od drugiej.

— A to jakim sposobem?

— Bardzo prostym. Miałem lat 18, kiedy po raz pierwszy zająłem się bardzo milutką panienką, lecz okazywałem jej swoje zajęcie, jak gdyby to dla mnie wcale nie było nowością Tak samo później kilka razy nadskakiwałem innym. Właściwie mówiąc, po raz pierwszy i ostatni zakochałem się w swojej niańce, lecz było to przed szóstym rokiem mego życia, nic więc dziwnego, że wrażenia i szczegóły tego uczucia zatarły się w mojej pamięci. Przypuszczam zresztą, że dzisiaj nie zajęłyby nikogo.

— Jakże to być może? — rzekł gospodarz, wyraźnie niezadowolony, — i ja o sobie nie mam nic do powiedzenia. Nie kochałem się wcale przed poznaniem Anny Iwanówny, mojej żony, a z nią wszystko nam poszło, jak z płatka: rodzice sami swatali, podobaliśmy się sobie nawzajem, i ożeniono nas, nie zwlekając. Historya moja skończona w trzech słowach, jak panowie widzicie. Prawdę powiedziawszy, podnosząc tę kwestyą, nie miałem siebie na myśli, ale was — bez obrazy — starzy kawalerowie. Może choć pan, Włodzimierzu Piotrowiczu, powiesz nam co ciekawego?

— Moja pierwsza miłość rzeczywiście nie należy do zwyczajnych — odparł po pewnym namyśle czterdziestoletni, trochę łysy brunet — ale...

— Tem lepiej, tem lepiej! — jednogłośnie zawołał Sergiusz Mikołajewicz i gospodarz. — Prosimy, słuchamy, zacznij pan opowiadanie...

— I owszem; albo nie... Nie będę opowiadał, nie umiałbym. Wypowiedziałbym wszystko w kilku słowach: krótko i sucho, lub mimowolnie wpadł w przesadę. Jeśli się panowie zgodzicie, opiszę dla was to zdarzenie i przeczytam, gdy się zejdziemy.

Nie chciano zgodzić się na to, ale Włodzimierz Piotrowicz postawił na swojem. We trzy tygodnie poźniej zebrali się znowu i przeczytał im co następuje:

ROZDZIAŁ I.

Miałem lat szesnaście, a było to latem 1833 roku.

Mieszkałem w Moskwie, przy rodzicach. Z wiosną najęliśmy letnie mieszkanie w pobliżu Kałuzkich rogatek, naprzeciw Nieskucznego. Miałem się przygotować do uniwersytetu, lecz pracowałem mało.

Nikt nie krępował mej swobody i robiłem, co chciałem, zwłaszcza od czasu rozstania z ostatnim guwernerem francuzem, który nie mógł pogodzić się z myślą, że los go rzucił do Rosyi, „jak bombę" (comme une bombe), i dnie całe z tego powodu spędzał, leżąc na łóżku z zagniewaną twarzą.

Ojciec był dla mnie obojętnie dobry; matka nie zwracała na mnie prawie wcale uwagi, chociaż byłem jedynakiem: inne zajmowały ją kłopoty. Ojciec mój, młodszy od niej o lat dziesięć i bardzo przystojny, ożenił się z nią dla majątku; ona wiedziała o tem, i całe życie dręczyła się skrycie zazdrością, gniewem, żalem i ukrywaniem tych uczuć, których nie ośmieliłaby się nigdy okazać w obecności męża, obawiając się go niezmiernie. Ojciec był dla niej surowy i chłodny... Nie znałem człowieka równie spokojnego, despotycznego i pewnego siebie.

Nie zapomnę nigdy pierwszych tygodni, spędzonych na letniem mieszkaniu. Pogoda była prześliczna, wyjechaliśmy z Moskwy 9 maja, w dzień Ś-go Mikołaja. Wydało mi się od razu, że znalazłem się na innym świecie. Zwykle brałem z sobą książkę. Kajdanowa np., i wychodziłem od rana; szedłem za rogatki, albo do Nieskucznego, niekiedy włóczyłem się poprostu po dosyć dużym, należącym do nas ogrodzie, lecz rzadko kiedy otwierałem książkę, a najczęściej deklamowałem głośno wiersze, których bardzo wiele umiałem na pamięć. Krew żywiej jakoś krążyła mi w żyłach, a serce ściskało się rozkosznie i słodko, zamierając i tęskniąc, nie wiem po czem. Lękałem się czegoś i wyczekiwałem, nie umiejąc określić swego stanu, nie zdając sobie z niego sprawy, lecz będąc ciągle w przygotowaniu na coś niezwykłego, nowego. Rozbudzona wyobraźnia unosiła mię daleko na skrzydłach marzeń i tęsknot, wzruszeń i mglistych; nieokreślonych

obrazów. I było mi smutno i błogo zarazem stałem się zamyślony i skłonny do płaczu; poezya grała na strunach mej duszy, wstrząsając je z równą siłą pięknością wieczoru, jak harmonijnym dźwiękiem wiersza, lub piosenki.

Ale przez łzy i tęsknoty, jak młoda trawka na wiosnę przez śnieg topniejący, przebijało radosne i silne poczucie młodego, budzącego się życia.

Miałem swego wierzchowca, i osiodławszy go, nieraz odbywałem sam jeden dalekie wycieczki. Doznawałem dziwnej przyjemności, straciwszy z oczu ostatnie domki przedmieścia; pędziłem galopem, i zdawało mi się, że jestem błędnym rycerzem, szukającym przygód. Wiatr wesoło świszczał koło mnie, a ja pędziłem naprzód.

To znów wolno puszczałem cugle i podniósłszy oczy ku niebu, patrzałem w czysty, niezgłębiony błękit, jak w otwartą duszę człowieka.

Pamiętam dobrze, że wówczas nigdy obraz kobiety nie unosił się przedemną w jasnych, określonych kształtach, nie widziałem jej w moich tęsknotach, ani marzeniach, — ale we wszystkiem, co czułem, myślałem, we wszystkich wrażeniach i porywach kryło się jakieś nieśmiałe, niewypowiedziane przeczucie czegoś zupełnie nowego, nieznanego a słodkiego, czegoś kobiecego...

To przeczucie i oczekiwanie przenikało mię na wskróś: czułem je w każdej kropli krwi gorącej, oddychałem niem, jak powietrzem... to przeczucie spełnić się musiało.

Domek, w którym mieszkaliśmy, składał się z dużego frontu z ganeczkiem na drewnianych słupach i dwóch niewielkich oficyn. W oficynie na lewo mieściła się nędzna fabryka tanich obić. Chodziłem tam nieraz przyglądać się brudnym, zamorusanym chłopakom, jak wskakując na drewniane drągi, ciężarem swego wychudłego ciała uciskali czworokątną prasę i wytłaczali na papierze różnobarwne desenie.

Oficyna prawa była nie wynajętą i stała jeszcze pustkami.

Dnia pewnego, w końcu maja, w jakie trzy tygodnie po naszem tutaj przybyciu, okiennice prawej oficyny zostały wreszcie otwarte, ukazały się w oknach jakieś twarze; widocznie nowa rodzina zjechała na letnie mieszkanie. Zaraz przy obiedzie matka zapytała służącego o nowych lokatorów, i usłyszałem wówczas po raz pierwszy nazwisko księżny Zasiekinej.

— Aa! księżna... — rzekła matka nie bez pewnego odcienia szacunku, ale zaraz dodała obojętnie: „musi być uboga."

— Na trzech wózkach się sprowadzili, — odpowiedział lokaj, — powozu swego

nie mają, a meble lada jakie.

— Tak, — rzekła matka, — zawsze lepiej...

Lecz ojciec spojrzał na nią — umilkła.

Rzeczywiście księżna Zasiekina musiała być zupełnie ubogą, gdyż ludzie nawet bardzo średniej zamożności nie byliby wynajęli oficynki, składającej się z kilku nizkich i ciasnych izdebek. Zresztą całą tę rozmowę puściłem mimo uszu; książęcy tytuł nie imponował mi wcale: byłem jeszcze pod wrażeniem niedawno przeczytanych „Zbójców" Szylera.

ROZDZIAŁ II.

Miałem zwyczaj codzień pod wieczór wychodzić z fuzyą do ogrodu i czatować na wrony. Zdawna nienawidziłem tych chytrych i drapieżnych ptaków, i tępiłem je z dziwną rozkoszą.

Dnia tego przed zachodem słońca udałem się, jak zwykle, do ogrodu, ale napróżno chodziłem po ścieżkach i alejach: ostrożne wrony poznały mię widać i krakały tylko zdaleka. Przypadkiem, zniecierpliwiony już trochę, zbliżyłem się do nizkiego, plecionego płotu, który oddzielał właściwe nasze terytoryum od wąziutkiego kawałka zadrzewionej łąki, ciągnącej się za oficynką i stanowiącej ogródek.

Szedłem zamyślony ze spuszczoną głową; nagle usłyszałem jakieś głosy, spojrzałem przez płot i stanąłem, jak wryty, ujrzawszy o kilka kroków niespodziane widowisko.

Na łączce, między krzakami malin i agrestu, stała wysoka i wysmukła panna w różowej sukience w paski i przejrzystej, białej zarzutce na głowie. Otaczało ją czterech młodzieńców, a ona po kolei uderzała o ich czoła te niewielkie szare kwiatki, które nie wiem, jak się nazywają, choć wszystkie dzieci znają je wybornie. Kwiatki te po opadnięciu tworzą małe torebki, które pękają z lekkim trzaskiem, gdy uderzymy niemi o jaki twardy przedmiot. Młodzi ladzie, śmiejąc się, wesoło nadstawiali czoła, a dziewczę z nieopisanym, czarującym wdziękiem uderzało o nie kwiatami.

Stałem nieruchomy, skamieniały, nie wiedząc nawet, co się ze mną dzieje;

magnetyzował mię każdy ruch jej ręki, w którym było coś tak słodko rozkazującego i pieszczotliwego zarazem, coś miłego i szyderczego, a pociągającego z taką siłą, że gotów byłbym zaraz oddać życie, byle i mnie raz jeden uderzyły tak rozkosznie te białe, cienkie paluszki.

Fuzya wysunęła mi się z ręki i upadła na trawę, a ja zapomniałem o wszystkiem, i patrzyłem tylko bez końca na wysmukłą kibić, delikatne, prześliczne rączki, białą szyjkę, złote pasma włosów, wymykające się na nią z pod przejrzystej zasłony, błyszczące, rozumne oczy, długie rzęsy, twarz delikatną i...

— Kawalerze, hej, kawalerze, a czy to tak ładnie przypatrywać się obcym panienkom? — zabrzmiał tuż koło mnie głos jakiś.

Drgnąłem i skamieniałem. Tuż przedemną za płotem stał człowiek jakiś z krótko ostrzyżoną czupryną i patrzył na mnie złośliwie czarnemi oczyma. W tej samej chwili dziewczę odwróciło głowę, ujrzałem jej wielkie szare oczy, twarz ożywioną, brwi jej podniosły się w sposób szczególny, białe ząbki błyszczały w ustach i wybuchnęła dźwięcznym, głośnym śmiechem, który spadł na mnie, jak piorun. Czułem, że krew mi uderza do głowy, schwyciłem fuzyą i pędem pobiegłem do domu. Wpadłszy do swego pokoju, rzuciłem się na łóżko i twarz zakryłem rękoma. Serce mi biło gwałtownie, dziwna radość rozsadzała piersi, a zarazem wstydziłem się swej ciekawości, jej śmiechu, tamtych, — sam nie wiem czego nareszcie!..

Uspokoiwszy się, powstałem, uczesałem się przed lustrem, poprawiłem ubranie i zaszedłem nadół na herbatę. Obraz prześlicznej dziewczyny stał mi ciągle przed oczyma, serce już nie biło, lecz zamierało co chwila i ściskało się rozkosznie.

— Co ci jest? — spytał nagle ojciec, raz tylko spojrzawszy na mnie, — wronę zabiłeś?

Chciałem opowiedzieć wszystko, lecz powstrzymałem się, nie wiem dlaczego, i uśmiechnąłem się tylko.

Powróciwszy do siebie, wykręciłem się na pięcie, oblałem kolońska wodą i spałem noc całą, jak zabity. Nad ranem zbudziłem się na chwilę, podniosłem głowę, z zachwytem spojrzałem wkoło — i zasnąłem na nowo.

ROZDZIAŁ III.

— Jakby się tu z nimi zapoznać? — było pierwszą moją myślą na drugi dzień rano. Przed śniadaniem wyszedłem trochę do ogrodu, lecz nie zbliżałem się do płot a i nikogo nie widziałem. Po herbacie zacząłem przechadzać się po podwórzu, nieznacznie spoglądając w jej okna. Nagle wydało mi się, że spostrzegam ją za firanką, i uciekłem czemprędzej przestraszony.

— Trzebaby się jednak poznać, — myślałem bezustannie, przechadzając się po piaszczystej równinie przed

Nieskucznem, — ale jak? jak?... To pytanie!

Przypomniałem sobie szczegóły wczorajszego zajścia i dziwnie jasno widziałem tę chwilę, w której ona roześmiała się z e mnie. Nie było mi to nawet przykrem, a raczej obok przykrości doznawałem niewymownie miłego uczucia...

Lecz kiedy tak rozważam, marzę i projektuję pod wpływem nieznanych wzruszeń, los zdecydował i rozstrzygnął za mnie kwestyą nowej znajomości.

Matka z samego rana odebrała list od sąsiadki, list na szarym papierze, zapieczętowany szarym lakiem, jakiego używają niekiedy na poczcie, lub do korkowania tanich gatunków wina. Pismo księżny niedbałe i niewyrobione, zupełny brak stylu i pojęcia o pierwszych zasadach ortografii, nie uprzedzały na jej korzyść. Zwracała się do mojej matki z prośbą o pomoc i opiekę, o protekcyą do ludzi, od których, jak się wyrażała, zawisł los i przyszłość jej rodziny. Księżna prowadziła bardzo zawikłany proces, a nie miała żadnych stosunków. „Zwracam się do pani, pisała, jak kobieta szlachetnego rodu do kobiety szlachetnego rodu, i przyjemnie mi przy tej sposobności poznać osobę, mającą tyle wpływu i stosunków.“ Kończyła, prosząc o pozwolenie przedstawienia się osobiście.

Powróciwszy do domu, zastałem matkę w złym humorze i zakłopotaną, ojca nie było w domu, i nie miała się kogo poradzić, a nie wiedziała, jak postąpić. Nie odpowiedzieć „kobiecie szlachetnego rodu,“ a przytem księżnie — niepodobna, ale jak odpowiedzieć? — po francuzku?... czy to będzie właściwem w odpowiedzi na list po rusku pisany? A w ruskiej ortografii i matka nie czuła się dosyć pewną i nie chciała się kompromitować.

Rada też była niezmiernie z mojego powrotu, i kazała mi natychmiast udać się do księżny, przedstawić się, oznajmić w jej imieniu, że gotowa z przyjemnością zrobić, co będzie mogła, i uprzejmie prosi księżną panią około pierwszej do siebie.

Niespodziewane i tak szybkie spełnienie mych tajemnych życzeń przestraszyło mię i ucieszyło zarazem; nie okazałem jednakże wzruszenia, lecz pośpieszyłem naprzód do swego pokoju, żeby wziąć nowy krawat i tużurek. W domu chodziłem

w kurtce i kolorowej koszuli, co już od pewnego czasu wydawało mi się niestosownem, teraz zaś postanowiłem stanowczo zaprowadzić reformę w swojej toalecie.

ROZDZIAŁ IV.

Z mimowolnym dreszczem wszedłem do ciasnego i nieporządnie zastawionego gratami przedpokoju w oficynie. Z drzwi przeciwległych jednocześnie wyszedł stary, siwowłosy lokaj o ponurem spojrzeniu małych, świńskich oczu i ciemnej, miedzianej twarzy, pokrytej na czole i skroniach tak głębokiemi zmarszczkami, jakich nie widziałem nigdy w życiu. Niósł na talerzu resztki śledzia i drzwi przymknąwszy nogą, spojrzał na mnie niechętnym, przenikliwym wzrokiem.

— Czego? — zapytał krótko.

— Księżna Zasiekina w domu?

— Bonifacy! — rozległ się z drugiego pokoju cienki, piskliwy głos kobiecy.

Lokaj w milczeniu odwrócił się do mnie plecami, ukazując wytarte szwy starej liberyi i jedyny herbowy guzik, — postawił talerz na podłodze i wyszedł, stąpając ciężko.

— W cyrkule byłeś? — odezwał się ten sam głos piskliwy.

Odpowiedzi słyszeć nie mogłem.

— A?... Kto przyszedł?... panicz z przeciwka?... Dobrze. Możesz prosić.

Koniec wersji demonstracyjnej.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

